Rok I. Lublin, 22 listopada 1925 r. № 47.



TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ.



Kościół w Trzeszczanach. Wieś Trzeszczany leży w powieciecie hrubieszowskim, województwie lubelskiem, oddalona od Hrubieszowa o 10 kilometrów, przy trakcie, wiodącym do Grabowca, do którego również jest 10 kilometrów. Kościół, widoczny na obrazku, obecnie już nie istnieje. Na miejsce jego zbudowano w tych czasach wielki i wspaniały kościół murowany. Ludność religijna i ofiarna.

Doktór Jan Sawicki.

Bardzo ciekawe i pouczające są koleje życia doktora Sawickiego.

Urodził się 24 lutego 1831 roku w Szawlach. Ojciec jego, Teodor, był lekarzem w Szawlach, odznaczał się sercem tkliwem, dużą pomoc okazywał ubogim, co zjednało mu powszechną życzliwość i szacunek.

Matka, Izabela z Rymgajłów, całą duszą oddana była dzieciom swoim, których miała jedenaścioro: dziewięciu synów i dwie córki, — szóstem z rzędu był Jan.

Kiedy Jaś liczył dopiero lat 5 życia, oddał go ojciec swemu szwagrowi, bratu żony, Karolowi Rymgajle, posiadającemu wieś Szapkajće, na czas jakiś. Tam przebywał tylko rok jeden.

Już od wczesnych lat Jaś okazywał „charakter zgodny, ładodny i bardzo czuły na każdą radę serdeczną, lub na upomnienie, idące od ludzi, którzy go kochali".

Wuj Kamil był bardzo dobry dla Jasia, lecz starsza siostra wuja, Julja, stara panna, zawiadująca gospodarstwem, była, jako ciotka, srogą, marudną i często nawet dotkliwie karała małego siostrzeńca swego, mającego zbyt żywe usposobienie i dużą skłonność do figlów.

Ale już od dzieciństwa ładna zaleta ujawniała się w charakterze Jasia: oto zawsze był koleżeński i nigdy nie lubił skarżyć się na nikogo. Raz zdarzyło się, że do Szapkajć przyjechała w odwiedziny siostra Jasia, cokolwiek od niego starsza.

Było to w zimie. Dziewczynka, bawiąc się koło pieca, w którym drzwiczki były rozpalone do białości prawie, haczykiem otworzyła je i zapewne przypadkowo sparzyła lewą rękę Jasia tak okropnie, że duża część skóry odrazu stała się wielką raną.

Dziewczynka niezmiernie przeraziła się nie tyle może widokiem rany, bo nie miała pojęcia o bólu, ile przewidywaniem kary od ciotki, prawie okrutnej. Jaś, jeszcze dzieciak, bo zaledwo sześcioletni, zapanowawszy nad bólem strasznym, zaraz uspokoił siostrzyczkę zapewnieniem, że całą winę bierze na siebie. Sam wnet udał się do ciotki i opowiedział jej, że się sparzył o pogrzebacz. Kilka tygodni goiła się rana, cierpiał, lecz siostry nie wydał. Kochał siostrę i ona go również bardzo miłowała!

Zaledwo rok przebywał Jasio u wuja. Musiał wrócić do domu, bo ojciec postanowił go zawczasu przygotować do gimnazjum. Gdy zaczął rok siódmy już go ojciec oddał do pierwszej klasy gimnazjalnej w Krożach, lecz wnet z Krożów powrócił do Szawel, albowiem wtedy właśnie rząd rosyjski skasował słynne gimnazjum polskie w Krożach i szkoły polskie w Chwałojniach, a profesorów przeniósł do Szawel i Swisłocza, rozkazując im uczyć wszystkich po moskiewsku.

Tak więc w Szawlach, mieście rodzinnem, Jaś zaczął nauki od pierwszej klasy w tamtejszem gimnazjum. Wówczas jeszcze nie było ograniczeń co do wieku uczniów, stąd wspólnie z Jasiem siedmioletnim zasiadali na ławkach pierwszej klasy uczniowie pod wąsem, mający lat niektórzy 25 i nawet 30...

„Ze wszystkich przedmiotów—pisze doktór Jan w swoim Pamiętniku o tych latach szkolnych — najlepiej polubiłem historję świętą i matematykę, być może dlatego, że nauczyciele tych przedmiotów, ksiądz Kontrym i Wincenty Giedymin, kochali młodzież i przez nią byli bardzo kochani. Wrażliwa moja dusza dziecięca była wtrząśnięta pięknością prawd ewangelicznych, męczeństwem Syna Bożego i bezgranicznem poświęceniem się pierwszych chrześcijan. Zrobiłem się bardzo nabożnym, czytałem żywoty świętych, Naśladowanie Chrystusa, codziennie chodziłem do kościoła na nabożeństwo dla modlitwy, lub służyłem do mszy, a ojciec, widząc takie usposobienie moje, zaczął mawiać, że „Jan zostanie księdzem". Te słowa ojcowskie powiększyły nabożność moją, modliłem się po kilka godzin dziennie, pościłem, spowiadałem się często i już umiałem na pamięć całą liturgję i inne nabożeństwa kościelne.

„Pamięć wprawdzie miałem wielką i ambicję, aby być wszędzie pierwszym i zawsze byłem przodującym w naukach, ale żywość charakteru nie opuszczała mnie nigdy. We wszystkich zabawach, swywolach i ryzykownych przedsięwzięciach byłem zawsze na przodzie, tak, że nieraz nazywano mnie „królem swawolników".

„W piłkę grałem znakomicie, rzucałem kamienie z procy doskonale, nie było drzewa, na którebym wleźć nie potrafił, nie było niebezpieczeństwa, na którebym się nie odważył, pobudzony ambicją, a zarazem wiarą, że bez woli Boga włos mi z głowy nie spadnie".

Mając lat jedenaście już był w czwartej klasie. I wtedy niespodziewanie stała się wielka zmiana w życiu jego. Oto pewnego dnia do ojca jego, jako lekarza, przybył na poradę znajomy stary major moskiewski, słabujący od jakiegoś czasu — i gdy zobaczył Jasia, silnie i dobrze zbudowanego, zapytał ojca, czemu nie odda go do korpusu kadeckiego, „bo z niego byłby doskonały żołnierz". Ojciec objaśnił, że nie ma znajomych w Petersburgu. Na to major, wdzięczny za leczenie, obiecał wyrobić miejsce Jasiowi w korpusie kadeckim. Obietnicy dotrzymał i wprędce, bo już na wiosnę, Jaś Sawicki w r. 1843, kiedy liczył ledwie lat dwanaście, opuścił dom rodzinny na czas bardzo długi.

Został przyjęty do korpusu kadetów w Petersburbu. Szkoła ta była niezmiernie sroga.

„Gdym poraz pierwszy stanął w szeregu,—pisze Jan Sawicki o tych czasach,—dowódca roty, kapitan Pogorzelski, miał do nas następującą przemowę: „Radze wam prowadzić się przyzwoicie, nie swawolić, uczyć się dobrze, bo za najmniejsze uchybienie w tym względzie czekają was rózgi, a że tu nie żartują, ręcze. Ej!—zawołał na dozorcę, —przynieś tu pęk rózeg, aby się wszyscy przekonali, że to nie rózgi matczyne". Zaraz wniesiono pęk rózeg, mających co najmniej 2 łokcie długości!

„W miesiąc potem w czasie musztry chłopcu czternastoletniemu, niejakiemu Hawratowi, dowódca batalionu, pułkownik Czaplin, dał pięćset rózeg za to, że źle robił bronią... Z placu odniesiono go wprost do szpitala.

„Codziennie mieliśmy cztery lekcje z różnych przedmiotów, każda trwała półtory godziny. Resztę czasu zabierały nam: musztra, gimnastyka, śpiew i lekcja tańca. Wstawaliśmy o 5-ej rano w zimie i latem. O 9-ej wieczór każdy musiał iść spać. Posiłek dawano bardzo skąpy. Dość nadmienić, że tylko raz jeden w ciągu lat kilku wstałem od obiadu syty. A tak stale głód chłopcom dokuczał w korpusie kadetów!

„Dowódcą tego zakładu wojskowego był jenerał-major Mikołaj Puszczyn, człowiek dzikiej srogości! Trudno wyobrazić sobie, jak ten dowódca pastwił się nad biednemi chłopcami, ile rózeg połamał na ich skórze. Zdarzało się, że po niepomyślnych musztrach, odbytych wobec cesarza, lub wielkiego księcia Michała, przyprowadzał korpus młodzieży kadeckiej do maneżu (szkoły konnej jazdy) i po trzydziestu lub czterdziestu kadetów jednocześnie rozciągano na ziemi i sieczono aż do zemdlenia. Puszczyn biegał zwykle między bijącemi posługaczami - żołdakami, krzycząc: „mocniej, mocniej!" Po jednej z takich egzekucji syn jenerała Głowackiego umarł z bólu. Takie tyrańskie obejście się wywałało między starszemi kadetami spisek: postanowili zabić jenerała. Spisek odkryto. najwinniejszych oddano do armji na prostych żołnierzy, obowiązanych służyć lat dwadzieścia pięć! Jednak skarga zrozpaczonego jenerała Głowackiego i wykryty spisek sprawiły to, że cesarz Mikołaj, sam despota i tyran, skarcił Puszczyna i uwolnił ze służby, a jego miejsce zajął jenerał Gresser.

„Uczono nas—ciągnie dalej doktór Jan—dobrze. Najlepsi profesorowie wykładali szkolne przedmioty. Nie było tam wówczas żadnej różnicy między polakami i moskalami, owszem, lubiano nas bardziej, bo wogóle polacy mieli większą ogładę, delikatność, zręczność w ćwiczeniach fizycznych, zdolność do nauki i prowadzli się lepiej... Religję katolicką wykładano nam po moskiewsku. Kapelan, ksiądz Stacewicz, przetłumaczył katechizm katolicki na język moskiewski. Popi, nauczyciele religji prawosławnej, lekceważeniem swego obowiązku i niedowiarstwem wszczepiali w młode dusze obojętność do religji i nawet pogardę do obrzędów kościelnych. Odbijało się to i na nas, katolikach, bo przykład bywa zaraźliwy.

„Mówiliśmy zawsze między sobą po moskiewsku, a jeżeli nie zapomniałem ojczystego języka, zawdzięczam to książeczce do nabożeństwa, ułożonej przez Tańską, którą mi ojciec przysłał w nagrodę za pilność w naukach i przykładne postępowanie. Styl tej książki jest tak piękny, wybór modlitw tak dobry, że często czytałem ją i prawie całą umiałem na pamięć.

„Co kilka tygodni najlepszych uczniów posyłano do pałacu cesarskiego dla zabawy z wielkiemi książętami: Mikołajem i Michałem, synami cesarza Mikołaja I-go. Ponieważ uczyłem się bardzo dobrze i co rok otrzymywałem pierwszą nagrodę, często przypadał na mnie ten zaszczyt, który lubiłem jedynie dlatego, że w pałacu dawano dobre rzeczy do jedzenia; co do samej zabawy, to nie była bardzo wesoła, bo książęta nie posiadali dobrego wychowania i lubili bolesne żarty, patrząc na nas jak na zwierzątka, przywiezione dla ich zabawy i rozrywki. Ileż to razy na wiosnę, gdy lód zaledwo roztopniał, bawiąc się w ogrodzie, byłem wepchnięty do sadzawki w całem ubraniu, skąpany w zimnej wodzie, zostawałem w mokrym mundurku aż do powrotu do zakładu; ileż to razy niejeden z nas, odwożony dworską karetką, wiózł do szkoły sińce na twarzy, uderzony śnieżną kulą rzuconą ręką wielkosiążęcą, albo jechał bez czapki, bo ją utopił książe w stawie. Wielki książe Mikołaj wykazywał przy tem zawsze mniej serca i większy brak wychowania, żarty jego bywały zawsze bolesne: takim też pozostał do końca życia swego.

„Posuwając się z klasy do klasy, co rok też awansowałem w stopniach wojskowych: w drugim roku mego pobytu w korpusie zostałem giefrejterem, w trzecim młodszym podoficerem, potem starszym, a nareszcie feldfeblem. W piątym roku nie chciano mnie awansować na feldfebla z powodu łagodnego charakteru mego, dla wypróbowania jednak poruczono mi ten obowiązek tymczasowo w szóstej rocie, dokąd zwykle wstępowali nowoprzybyli uczniowie. Wiedząc, że od tego zależała przyszłość moja, rozwinąłem taką energję, tak byłem czynny i srogi dla chłopców, że po miesiącu próby awansowano mnie na feldfebla. Od tej chwili zmieniłem powoli postępowanie i stałem się znowu tem, czem byłem rzeczywiście!"

W r. 1848 umarł mu ojciec na cholerę. Na pogrzebie nie mógł być. Tylko dowiedziawszy się o ciężkiem położeniu materjalnem rodziny, wyjednał u naczelnika korpusu miejsce dla dwuch swoich braci młodszych, Ludwika i Hugona. W taki sposób zapewnił im korzystną przyszłość wojskową.

Już 26 maja 1849 r., kiedy miał dopiero lat 18 został oficerem lejbgwardji grenadjerskiego pułku. Pułk ten zatrzymał się w Wiłkomierzu. Stąd niedaleko do Szawel, więc poprosił o urlop czterodniowy pułkownika swego, Sałosa, dla odwiedzenia matki, której pięć lat nie widział. Warto przytoczyć z Pamiętnika doktora Jana opowiadanie jego o tych odwiedzinach:

„W czasie podróży przez las—pisze—kupiłem młodą wiewiórkę od leśniczego i umieściłem ją w tornistrze oficerskim. Płacąc furmanowi dobry napiwek, pędziłem jak szalony do miasta rodzinnego. Przyjechawszy do rogatki o szóstej zrana, kazałem pocztyljonowi trąbić z całej siły, żeby wjechać do miasta huczniej. Serce mi skakało z radości, że za chwilę obejmę ukochaną matkę i siostry. Był to przecudny poranek wiosenny, ptaszki śpiewały i cała natura zdawała się uśmiechać i wtórować memu nastrojowi. Podjechawszy przed dom, zeskoczyłem z wózka. Na spotkanie wybiegła służąca, która była u nas od lat kilkunastu i pies. Pomimo tak długiego niewidzenia pies poznał mnie odrazu po głosie i, skowycząc z radości, skakał dokoła. Dowiedziawszy się, że matka spoczywa jeszcze, kazałem, aby jej nie budzono, sam wszedłem do pokoju ojcowskiego. Wszystko tam było na dawnych miejscach i biurko, przy którem pracował i fotel malowany i kanapa, przy której tak często klęczałem za karę i półka na tytoń i fajki. Obejrzawszy pokoje, wyjąłem z tornistra wiewiórkę i zacząłem nią bawić się; swawolnica skakała po pokoju, potem schowała się pod biurko ojcowskie. Chcąc ją stamtąd wypędzić, wziąłem cybuch do ręki i położyłem się na ziemi, aby zobaczyć, gdzie siedzi. W tej chwili drzwi się otworzyły i wbiegła matka, której pomimo zakazu mego powiedziano o przyjeździe kochanego Jasia. Zaprezentowałem się więc nie bardzo korzystnie, bo jak dawny swawolnik, którego przed pięciu laty pożegnała. Powitanie nasze było radosne, łzy szczęścia ciekły nam z oczu, uściskom i pytaniom końca nie było. Obie siostry wyrosły na piękne panny, z dumą przypatrywały się zręcznemu oficerowi z gwardji, ubranemu w śliczny mundurek. Boże mój! Jaki byłem wówczas szczęśliwy! Biegałem z pokoju do pokoju, z podwórza do ogrodu, z gołębnika do wozowni, gdzie stał nasz dawny, na żółto malowany, kocz, aby się przypatrzeć tym wszystkim miejscom, które były świadkami mych zabaw dziecinnych. Tegoż dnia odwiedziłem wszystkich znajomych w mieście, byłem w kościele, byłem u księdza Kontryma i na cmentarzu, aby pomodlić się na mogile ojca i zapłakać, że nie dożył tej radości, a kochał mnie bardzo. Na drugi dzień wyjechałem do wujów, żeby przedstawić się im wszystkim i zobaczyć te miejsca, które w mej wyobraźni zawsze otoczone były jakiemiś tęczowemi barwami. Wszędzie byłem witany szczerze i serdecznie, wszędzie mi było wesoło, bom był szczęśliwy nad wyraz.

Któż takich dni choć kilka nie miał w życiu swojem? Kto ich nie pamięta, nawet wówczas, gdy mu głowę siwizna zabieli? Na wspomnienie złotych chwil owych, przelotnych, a nigdy nie zapomnianych, łzy cisną się do oczu, bo nigdy już nie wrócą".

Powróciwszy do pułku, Jan, jako oficer, prawie ubóstwa doznawał, bo, nie znając wartości pieniędzy i nie nauczony oszczędności, pensyjkę niewielką prędko wydawał, a resztę dni każdego miesiąca musiał niemal głodować, bo przecież oficerowi nie wypadało podjąć się ubocznie jakiej jeszcze pracy zarobkowej.

Ale przyszła mu myśl bardzo szczęśliwa i dla niego wykonalna: jako zdolny i pracowity porzucił oficerstwo w gwardji, a wstąpił do wojennej akademji generalnego sztabu, która dawała ogromne przywileje tym, co ją ukończyli celująco.

Jak zamierzył, tak uczynił. Mając rok dwudziesty, zdał egzamin i został przyjęty do akademji. Dwa lata, wyrzekłszy się wszelkich rozrywek godziwych, pracował dnie i noce bez wytchnienia prawie, mało czasu poświęcając na sen i posiłek. I dopiął swego. W końcu drugiego roku zdał ostateczny egzamin świetnie. Otrzymał dwie rangi jedną po drugiej i nagrodę. Mając lat 21 już został sztabs-kapitanem— i otrzymał zaraz stanowisko starszego adjutanta sztabu główno-dowodzącego, którym był wówczas następca tronu, Aleksander. Płacę teraz otrzymał dostateczną, mundur miał piękny, ładne mieszkanie skarbowe—i, zdawało się, że już nic mu nie brakowało do szczęścia, bo zyskał poważanie i uśmiechała mu się karjera w dalszem życiu.

Już tak zaszczytne i ważniejsze zająwszy stanowisko, Jan Sawicki miał możność nawiązania znajomości ze znakomitszemi rosjanami. I gdy rozpoznał charaktery wielu rosjan wpływowych, zauważył ze smutkiem, że wśród nich niemało było ludzi zgoła niegodziwych: rozpustników, karciarzy, karjerowiczów, gotowych na wszelkie podłości dla zdobycia pieniędzy i wyższych urzędów...

Dość nadmienić, że senator Sieniawin oddał własną córkę na rozpustę wielkiemu księciu Mikołajowi, mniemając, że w nagrodę za to otrzyma jakie miejsce bardzo dochodne, a gdy się zawiódł z rozpaczy wyskoczył z piętra na bruk i głowę roztrzaskał; Księżna Trubecka upraszała władzę o wysłanie męża w stepy orenburskie, żeby stać się kochanką carską na kilka nocy; księżna Dołgorukaja z największą dumą chwali się ze swej hańby, książe Woroncow żeni się z jedną nałożnicą carską, a Albedinski z drugą.

„Obok tej klasy zepsutej, - słowa Sawickiego - mającej przywileje na rozpustę, bo okrytej promieniam łaski cesarskiej, poznałem się także z wybitnemi profesorami i publicystami rosyjskiemi. Nie wiele też i oni warci. Siły charakteru i przekonań, szczerości i szlachetności, bezinteresowności i niezmienności tam nie znajdziecie. Słynny poeta Niekrasow był rozpustny i brudny w sprawach pieniężnych do najwyższego stopnia; Panajew (założyciel czasopisma „Sowremiennik") był to łotrzyk najbezwstydniejszy; Katkow (redaktor miesięcznika „Ruskij Archiw", wielki wróg polaków)—łajdak, zdolny do największej podłości".

Obracał się Jan Sawicki między takiemi ludźmi niecnotami, bo musiał, bo wypadało mu tak z jego stanowiska, jako wyższy oficer sztabu jeneralnego, ale nie poddał się wpływom tych ludzi zepsutych!

Sam przy tej sposobności wyznaje w swoim Pamiętniku skromnie i prostotnie: „całe życie miałem wstręt do udawanych uczuć i oszukaństwa",

---

Opowiada dr. Jan Sawicki w swoim Pamiętniku o śmierci cara Mikołaja I-go.

Kiedy wojna sewastopolska w r. 1856 stawała się już niepomyślną dla Rosji, car Mikołaj, przewidując dla siebie upokorzenie straszne, gdy mu wypadnie przyjąć wiadomość urzędową, że wojnę przegrał, nie chciał doczekać takiej chwili, postanowił umrzeć. Wezwał lekarza i zamówił u niego dla siebie truciznę. Lekarz wzbraniał się, dopiero gdy następca tronu, Aleksander, potwierdził wolę ojca,— lekarz spełnił rozkaz — i car, wypiwszy truciznę, umarł w strasznych mękach 3 marca 1856 roku

W Rosji całej nikt nie żałował okrutnika

„Trzy lata potem zmarł jenerał Orłow, przyjaciel cara Mikołaja, naczelnik żandarmerji Przed śmiercią dostał obłąkania: zdawało mu się, że nie jest jenerał-adjutantem, lecz tylko świnią. Kazał zrobić sobie koryto i jadł nie inaczej z niego, jak na czworaku, włożywszy poprzednio mundur i wszystkie rosyjskie i zagraniczne ordery, których miał wiele. Tak umarł spólnik i wykonawca zbrodni Mikołaja I-go".

Nieco dalej tak pisze dr. Sawicki: „Cesarz Aleksander II-gi, jak i jego ojciec, Mikołaj I-y, nie słynęli z męstwa. Mikołaj I-y bał się niezmiernie wszelkich ruchów ludowych. W czasie 14 grudnia 1825 r. do tego stopnia stracił głowę, że chodził blady jak trup, pytając każdego o radę. Gdy w czasie cholery w r. 1834 wybuchł bunt w Petersburgu, car, przebywający wówczas w Peterhofie, nie chciał jechać do stolicy i ciągle nasłuchiwał, czy nie strzelają z armat w Petersburgu. Na drugi dzień, gdy się już wszystko uspokoiło, car wyjechał na plac i krzyknął na lud zebrany: „na kolana!" Tłum zestraszony spełnił rozkaz cesarski.

— Co to znaczy, — woła — buntujecie się! Wszystkiego tego ci podli polacy was uczą! Na ten raz wam przebaczam, ale na przyszłość srogo karać będę czyny podobne.

Mikołaj nigdy nie przebaczył nikomu, kto go przestraszył, lub kto widział przestrach jego. Byłem sam świadkiem, — słowa Sawickiego — jak pewnego indjanina, który z prośbą w ręku ukląkł przed nim znienacka i nastraszył go swą ciemną i zrozpaczoną twarzą, kazał wrzucić do więzienia, nie chcąc nawet przyjąć prośby jego. Nieszczęśliwy indjanin zmarł w lochu, przesiedziawszy tam lat siedem tylko za to, że nastraszył cara-despotę. Jenerałowi Panajewowi, który był świadkiem przestrachu cara podczas buntu wojennych kolonji w Nowogrodzie, Mikołaj kazał wyjechać do jednej ze wschodnich guberni i tam pozostawać aż do śmierci i nigdy nie pokazywać się w stolicy. Niektórzy zaś otrucie się cara po prze-

granej wojnie sewastopolskiej uważają jako dowód jego męstwa i siły woli. Mnie się jednak to nie zdaje. Car stał się samobójcą dlatego, że się wstydził swoich omyłek politycznych, brak mu przytem było siły woli do walki z przeciwnościami, które go otoczyły po przegranej wojnie.

1857 r. został już podpułkownikiem, mając dopiero lat 27. Polubił służbę wojskową, chciał się w niej udoskonalić i dlatego zamierzył udać się zagranicę, poznać, jak tam załatwiane są wszelkie sprawy wojskowe, a przytem zapragnął przypatrzeć się tym okolicom we Włoszech, gdzie ongi Napoleon I-y staczał boje pomyślne Nęciły go zadania wojenne, miał w sobie zapał żołnierski. Pieniędzy mu na podróż wystarczyło. Już miał sporo oszczędności własnych. Nauczył się oszczędzać i całe życie nie zapomniał tej nauki.

Wyjechał zagranicę w maju 1857 r., a wrócił dopiero następnego roku. Przedewszystkiem przed wyjazdem odwiedził matkę i rodzeństwo. Potem przez Warszawę, Tatry i Kraków udał się do Wiednia, Szwajcarji, Włoch, Afryki północnej, Hiszpanji, Portugalji, Francji, Anglji, Holandji, Belgji i Prus.

Ta podróż — pisze Sawicki — „rozwinęła mój umysł, pozwoliła ocenić dokładnie braki mego wykształcenia, dała możność poznania kilku wielkich obywateli: polaków, francuzów, włochów i węgrów, rozszerzyła me wiadomości wojskowe i przysposobiła w ten sposób do należytego pełnienia obowiązku naczelnika sztabu".

Gdy z wędrówki przybył do Petersburga, zaraz mianowano go szefem (naczelnikiem) sztabu I-ej kawaleryjskiej dywizji, która stała w kowieńskiej guberni, a kancelarja sztabu znajdowała się w Kownie. Szczęśliwy był traf dla niego, bo właśnie od jakiegoś czasu w Kownie mieszkała jego matka, siostra zamężna i brat starszy, który tam pełnił obowiązki pomocnika prokuratora przy sądzie okręgowym.

Dowódcą dywizji w Kownie był jenerał Burhard, dość niedołężny i słabo znający służbę wojskową. Za to Sawicki z urzędu swego sztabowego usilnie zajął się udoskonaleniem sprawności wszystkich pułków, wchodzących w skład tej dywizji. „Zwrócił przedewszystkiem baczną uwagę na bardziej ludzkie obejście się oficerów z żołnierzami, na polepszenie ich wiktu i utrzymania, śledził starannie, aby nie było nadużyć i krzywdy tym, co się skarżyć nie mogą, starał się też między oficerami zaprowadzić jaknajwiększe koleżeństwo, bywając u nich i przyjmując ich u siebie, rozbudzał w nich zamiłowanie do służby wojskowej i chęć do zajęcia się nią. Sam też tak nauczył się dobrze regulaminu wojskowego kawalerji, że stał się dla wszystkich wojskowych prawie wyrocznią. Wszyscy polubili go i szanowali, bo dał się lubić jako szczery, szlachetny, uczciwy i niezmiernie rozumny. Wkrótce tak udoskonalił dywizję, że gdy car Aleksander 1860 roku odbył jej przegląd w Wilnie, pochwalił dowódcę i nagrodził wszystkich oficerów. A potem oficerowie wyznawali, że główna podzięka za ten postęp należy się przedewszystkiem naczelnikowi sztabu dywizji, Janowi Sawickiemu.

A on umiał zjednać sobie przyjaźń nietylko wojskowych, lecz i u bardzo wielu mieszkańców Kowna, oraz okolicy znalazł dla siebie wielką przychylność.

„Życie moje w Kownie — pisze Sawicki — było bardzo przyjemne. Trzy lata ubiegły, jak chwilka jedna, wszyscy mnie kochali i ja szczerze byłem przywiązany i do wojsk i do obowiązków moich. Przyjaźń moja dla brata, który był w Kownie wiceprokuratorem, wzrastała z dniem każdym, był to bowiem człowiek niezmiernej prawości i szlachetności.

Ileż to razy odbywaliśmy razem spacery za miastem i, rozmawiając o smutnych losach Litwy, spłakani wracaliśmy do domu....

„Czas wolny spędzałem nad książkami, studjując literaturę polską i historję Polski, których dotychczas prawie nie znałem (kształcony w szkole rosyjskiej), albo pracując w ogrodzie i pielęgnując kwiatki, albo odwiedzając znajomych w okolicy. Szwagier mój Zygmunt Sacewicz, który żył z nami razem, był także zacny i bardzo poczciwy człowiek, kochał żonę swoję, a do nas był przywiązany, jak do braci rodzonych. Dom nasz z jego spokojem, miłością, szacunkiem i wzajemnem przywiązaniem mógł służyć i rzeczywiście służył za przykład szczęśliwego, cnotliwego i poczciwego pożycia. Bogactwa nie było, lecz niedostatku nigdy nie zaznaliśmy, pomagając sobie wzajemnie. Starodawna gościnność tu panowała stale i gości zawsze było pełno, zwłaszcza na imieniny matki, siostry naszej i większe święta.

„Jednego tylko miałem wroga, ale niebezpiecznego. Był nim pułkownik żandarmski, Skwarcow, niegodziwiec taki, że nawet jego brat rodzony wyrzekł się go i nie chciał słyszeć o nim. Otóż Skwarcow mniemał, że ja, przyjechawszy do Kowna, odwiedzę go pierwszy i w taki sposób upoważnię do bywania u mnie, gdzie zbierało się tyle ludzi, — ale omylił się bardzo, bo nie miałem zamiaru wprowadzania do mego domu szpiega Tego mi nie mógł darować i zemścił się przy pierwszej okoliczności.

Polacy pod panowaniem Mikołaja I-go byli bardzo prześladowani. Gdy po śmierci tego tyrana wstąpił na tron Aleksander II-gi, narazie rozeszły się pogłoski, że nowy car nie będzie tak okrutnym dla polaków, poczyni im znaczne ulgi, da nawet dużą wolność Tak łudzili się nieszczęśliwi. I rzeczywiście w pierwszych latach panowania Aleksandra w Polsce i na Litwie ludność polska i litewska odprawiała częste modły na intencję wybłagania pomyślności dla ojczyzny, nie raz też urządzała uczty, podczas których wygłaszane bywały mowy patrjotyczne i śmiało i wyraźnie wyrażające niedolę, krzywdy i nadzieje narodu polsko-litewskiego. W Kownie właśnie w tym czasie odbywały się nierzadko takie modły i uczty. Wobec nich podpułkownik Sawicki był w trudnem położeniu, bo, jako polak, miłujący ojczyznę, całem sercem radby uczestniczyć w modłach publicznych i na ucztach narodowych, — ale jako oficer rosyjski mógł się łatwo podać w podejrzenie, że działa wrogo przeciwko rządowi, w którego armji służy.

I tak się stało niebawem. Polacy pewnego razu wyprawili ucztę narodową, na której miły poeta polski, Kondratowicz (Syrokomla), wygłosił swój wiersz polityczny.

W tym wierszu rosjanie dosłyszeli nutę niechęci, urazy do rządu — i tajemnie denuncjowali do wyższej władzy Jana Sawickiego, że on jakoby obecny był na tej uczcie, słyszał ten wiersz, publicznie wygłoszony przez poetę i nie sprzeciwił się, ale, owszem, oklaskiwał go razem z innemi współbiesiadnikami. Denuncjacji tej dopuścili się społem: pułkownik żandarmerji i jenerał Burhardt Sawicki nic o tem nie wiedział i nawet nie był na uczcie w tej porze, kiedy poeta mówił swój wiersz patrjotyczny. Denuncjanci, nie sprawdziwszy pogłoski, napisali do ministerjum oskarżenie, które miało ten skutek, że nagle Sawicki otrzymał z Petersburga wiadomość, podpisaną przez cara, o przeniesieniu go z Kowna do Kurska!

Jak umiał Sawicki w krótkim czasie zaskarbić sobie niemal u wszystkich życzliwość, a nawet i przyjaźń, świadczył powszechny żal i serdeczne pożegnanie, kiedy już musiał opuścić Kowno. Nawet żołnierze zbiorowo wyrazili mu swoję cześć, a oficerowie i cywilni mieszkańcy odprowadzili go owacyjnie daleko po za miasto

Dopiero w Petersburgu u ministra dowiedział się Sawicki, że mu się przysłużył jego jenerał dywizji, Burhardt, któremu tyle pomocy wojskowej okazywał i nawet przyczynił się do tego, że przecież otrzymał był nagrodę od cara za dobre wyćwiczenie pułków; ale to było zasługa nie Burhardta, jeno Sawickiego. Teraz więc u ministra Sawicki wytłumaczył się z oskarżenia, jako był prawdziwie niewinny i w nagrodę zą to otrzymał godność pułkownika, a gdy go władza zapytała o jenerała Burhardta, czy jest zdatny, dał o nim rzetelne świadectwo, iż jest nieudolny. I oto niebawem sama władza ministerjalna dała całkowitą dymisję jenerałowi Burhardtowi. Jenerał, otrzymawszy nagle uwolnienie ze służby, strasznie rozpaczał. A jednak powinien był w tem wydarzeniu sam sobie powiedzieć, że tylko sprawdziło się na nim stare przysłowie: „kto pod kim dołki kopie,—sam w nie wpada"—i kto okazuje niewdzięczność, sam wprędce dozna powszechnej pogardy!

W Kursku Sawicki, już jako pułkownik, takie samo stanowisko zajmował, jak w Kownie. Ale, nauczony doświadczeniem, unikał zawierania wielu znajomości. Po spełnieniu zwykłych obowiązków swoich, resztę dnia i część nocy spędzał nad książkami. Umiłował nauki przyrodnicze, więc teraz w Kursku przez czytanie wielu dzieł i robienie doświadczeń pogłębiał w sobie tę wiedzę.

I w Kursku również znalazł się wróg, który uczciwego i szlachetnego polaka sekretnie oskarżył przed ministrem spraw wojskowych. Na skutek tego oskarżenia Sawicki, jako „niebłahonadiożnyj", został powołany do Petersburga i przeznaczony „do osobnych poleceń„ przy wojennem ministerstwie, a więc zabrany z Kurska, bo tam naraził się panu gubernatorowi.

Gubernator w Kursku, niejaki Den, „ustawicznie mieszał się w sprawy wojsk, rozkwaterowanych w guberni i wymagał dla siebie takich honorów wojskowych, które mu się nie należały. Zarówno dowódca dywizji, jak i Sawicki, jako naczelnik sztabu, nie chcieli zastosować się do wymagań gubernatora, co go tak obraziło, że postanowił zemścić się na dowódcy dywizji i na pułkowniku Sawickim." A w Rosji zawsze było łatwo zaszkodzić każdemu. Dość sekretnie donieść władzy o kim, że jest: „niebłahonadiożnyj", a już do końca życia nic go nie zdołało oczyścić od podejrzeń władzy i zarzutów, częstokroć niedorzecznych aż do śmieszności. „Tak człowiek „niebłahonadioznyj", jeżeli nie ma własnych środków, a żył tylko ze służby rządowej, zginąć może nędznie, a nikt mu ręki nie poda z obawy, żeby i jego również nie podejrzewano o wspólnictwo"

Znowu pułkownik Sawicki udał się do Petersburga i tam z ministrem i jego pomocnikiem miał nieprzyjemną rozmowę, z której wreszcie dowiedział się, że gubernator Den oskarżył go „o nieprzychylne usposobienie do rządu carskiego", bo między innemi na obiedzie galowym u gubernatora pił zdrowie carskie nie szampanem, lecz wodą, bo prawdziwie wina wcale nie używał od dłuższego czasu. Jeszcze inne zarzuty uczynił mu gubernator w swoim „donosie", ale widocznie „obwinienia te nic ważnego nie zawierały", bo minister wstydził się je powtórzyć.

Pułkownik Sawicki skorzystał z podejrzliwości władzy wyższej — i poprosił o dymisję. Uczynił to jednak z innej przyczyny: — z obowiązku narodowego. Bo w tym czasie wybuchło powstanie w Polsce i na Litwie. Sawicki już był nawet otrzymał listowne zaproszenie od rodaków, by rzucił służbę w wojsku rosyjskiem, — a wstąpił do powstańców. Sam, jakkolwiek zawczasu przewidywał niepowodzenie powstania, jednak, jako dzielny polak, rozumiał, że każdy obowiązany, kiedy kraj woła, rzucić wszystko i stanąć w jego obronie, choćby przytem wypadło złożyć swe życie w ofierze.

W tym czasie Sawicki ogłosił drukiem swoję książkę naukową, napisaną po rosyjsku, pod tytułem „Obrazy wszechświata". A gdy już otrzymał pożądaną dymisję, wyrobił sobie paszport zagraniczny i 26 maja 1863 roku opuścił Petersburg, a niebawem i Rosję nazawsze!

Dużo miał przyjaciół wśród rosjan. I ci gromadnie odwieźli go parostatkiem do okrętu szwedzkiego, który miał go zawieźć do Hamburga. Na pożegnanie rzekli mu rosjanie te słowa: „Jedź, Janie, kurować się, szczęść ci Boże, a jak się wyleczysz, dopomóż i nam do odzyskania zdrowia".

Zrozumiał znaczenie tego życzenia Jan Sawicki, bo przecież on z przyjaciółmi moskalami szczerze rozmawiał o swojem postanowieniu przyłączenia się do powstania polskiego, więc oni życzyli mu powodzenia w walce o niepodległość Polski, a gdy ją wyzwoli, niech wraca do Rosji i rosjanom pomoże zmusić cara do dania swobód narodowi rosyjskiemu, ciemiężonemu jego tyranja!

Jan Sawicki, robiąc starania o paszport, podawał policji jako powód podróży swojej zagranicę zamiar leczenia się wodami mineralnemi. Ale widocznie od przyjaciół moskali dowiedziała się policja dość późno o tajnym planie narodowym podróży jego, bo kazała go aresztować. Na szczęście rozkaz spóźnił się o dwie godziny! Kiedy straż policyjna przyszła do mieszkania Sawickiego, żeby go zaaresztować, on

już był na morzu, wolny i szlachetny syn Polski!

Dążył na pole walki. Zgóry przewidywał, że walka zakończy się przegraną, bo naród polski nie był przygotowany należycie do boju z przeważającemi siłami nieprzyjaciół, lecz skoro już wybuchło powstanie,—rozumiał Sawicki, że teraz nie czas na wahanie się, lecz razem z innemi rodakami trzeba iść z bronią w ręku na wroga!

O tym momencie swego postanowienia tak pięknie pisze Sawicki w swoim Pamiętniku: „Będąc najzdolniejszym wojskowo z braci, uważałem, że na mnie wypadł los iść na straconą pikietę i krwią moją spłacić dług ojczyźnie. Och, nie łatwe jest poświęcenie się, gdy się nie ma wiary w możność udania się przedsięwzięcia. Żegnałem kraj, żegnałem w myślach matkę, siostry i braci, których już nigdy nie miałem zobaczyć, żegnałem marzenia młodości, idąc na pewną śmierć z przekonaniem, że nie będzie nawet komu odnieść ostatniego pożegnania syna i brata osobom, które tak kochałem i wskazać miejsca, gdzie kości moje leżą! Jakżeż silną jest w człowieku chęć pozostawienia po sobie wspomnienia i jakiejś pamiątki"!...

Po wylądowaniu Sawicki na krótko zatrzymał się w Brukseli dla powzięcia wiadomości, gdzie się znajduje Komitet narodowy, kierujący powstaniem polskiem. Tam polecono mu udać się do Paryża. W Paryżu wprawdzie zastał Rząd Narodowy polski, ale zauważył w niektórych jego członkach albo niedołęztwo, albo niezgodę i stąd odesłano go do Krakowa, a z Krakowa do Lwowa. Stracił sporo pieniędzy swoich i czasu zgoła bez żadnej potrzeby. We Lwowie dowódcy powstania narazie zakłopotali się z powodu Sawickiego, bo mniemali, że on, jako były pułkownik wojsk rosyjskich, zechce otrzymać dowództwo nad oddziałem powstańców, a on zaraz wybawił ich z kłopotu, oświadczywszy, że przyszedł służyć jako prosty żołnierz w piechocie, lub kawalerji.

Wreszcie — pisze Sawicki — „29 czerwca 1863 r. otrzymałem z komitetu powstańczego zawiadomienie, że mam się udać do Wysocka pocztowemi końmi, a stamtąd będę odesłany na pukt zborny. Jutro więc będę w oddziale, a pojutrze może się zetrzemy z nieprzyjacielem, — może to już ostatnia chwila życia, a dokoła mnie ani jednej duszy przyjaznej, którąby rękę wyciągnęła na pożegnanie, ani jednego człowieka, ktoryby się interesował mną, ani jednego, ktoby mógł przesłać moim drogim ostatni ukłon, ostatni uścisk. Boże, z jak miękiej gliny człowiek jest ulepiony i jak mu potrzebna ta wiara w nieśmiertelność duszy...

Nie cały rok Sawicki uczestniczył w powstaniu. W początkach był tylko żołnierzem, ale wprędce powierzono mu coraz trudniejsze obowiązki, wreszcie mianowano go pułkownikiem. Umyślnie zmienił swe nazwisko, ażeby własnej rodziny: matki i braci, stale mieszkających pod rządem rosyjskim, nie narażać na prześladowania, więc w wojsku powstańczem zwany był jako pułkownik Struś. Z oddziałami powstańczemi ciągle przechodził z miejsca na miejsce w różnych okolicach Galicji, bywał w wielu bojach, wszędzie odznaczał się odwagą, walecznością i przytomnością umysłu; umiał dawać dobry przykład gorliwości obywatelskiej i trafne rady wojskowe, ale, niestety, nie zawsze starszyzna chciała się do nich zastosować.

Powstanie się nie udało. Było ono jednak niezbędne i bardzo pożyteczne, bo ożywiło w narodzie miłość ojczyzny i tęsknotę do niepodległości, a całemu światu przypomniało o krzywdach, wyrządzonych Polsce! Zatem poświęcenie się pułkownika Sawickiego nie było bezowocne. Cześć mu za to! Jak on podczas powstania swemi działaniami wojskowemi dokuczył władzy austrjackiej, przekonywa to, że te władze obiecały dać 3 tysiące złotych reńskich w nagrodę temu człowiekowi, który Sawickiego wyda w jej ręce. Nikt tego nie uczynił, przeciwnie, było sporo życzliwych, którzy po skończonem powstaniu w maju 1864 roku ułatwili mu za fałszywym paszportem przedostać się zagranicę, narazie do Drezna.

Znalazłszy się na obczyznie, Sawicki, prawie bez środków do życia, bo co miał, jako oszczędność, wywiezioną z Rosji, niemal wszystko wydał na potrzeby powstania, musiał szybko wybierać, co mu wypada uczynić z sobą. Miał lat 33, wykształcenie, siłę woli, dzielność i ambicję, a przytem głowę bardzo zdolną! Postanowił wyjechać do Szwajcarji, bo tam spodziewał się znaleźć dla siebie pracę. Osiadł w mieście Genewie i dopomagał rodakom ubogim, uczestnikom powstania, którzy po powstaniu rozproszyli się w różne strony świata, a wielu z nich przybyło do Genewy. Nie mieli pieniędzy, nie znali żadnej roboty, a co gorsza, nie znali obcej mowy. Sawicki zaopiekował się niemi, wszystkim znalazł zarobek i potem jeszcze nieraz odwiedzał ich w warsztatach i fabrykach. Chcąc zapewnić wszystkim rodakom w Genewie pomoc stałą i skuteczną, podał myśl i przyczynił się do urządzenia tam „stowarzyszenia bratniej pomocy", które wyświadczało wielkie przysługi najbiedniejszym rodakom. W ciągu dwuch lat stowarzyszenie rozdało zapomóg 50 tysięcy franków, a przytem jeszcze bielizny i odzienia sporo. A gdy w Galicji roku 1865 nastał głód wielki,—to stowarzyszenie polskie w Genewie za radą Sawickiego posłało zapomogi 100 franków dla najgłodniejszych braci polaków w Galicji!

Sawicki nie próżnował w Genewie, zarabiał na utrzymanie swoje dawaniem lekcji, rysowaniem planów, pisaniem artykułów do gazet, a nadto jeszcze uczył się ciągle i zajmował się przy pomocy mikroskopu badaniem drobniuchnych żyjątek. Nie miał jednej chwili wolnej, wszystkie były zapełnione pracą. Praca nietylko dawała mu chleb i wyświadczała zbawcze przysługi rodakom, lecz nadto jeszcze stała się lekarstwem dla jego ducha, nękanego chwilami straszną tęsknotą za krajem i rodziną swoją.

„Czasami — pisze o sobie Sawicki — moja tęsknota przechodziła w rodzaj choroby umysłowej Sam jeden w ciszy izby, wydany na łup własnych myśli czułem, że zginę, jeżeli nie wrócę do kraju: oczy zachodziły łzami, ręce drżały, w piersi brakło tchu, czoło było zimne, ale wewnątrz czułem płomienie. Wów

czas. jak widmo stawały przedemną lata dziecinne i młodzieńcze, matka, rodzina, Kowno ze swoim cmentarzem, na którym spoczywała ukochana siostra moja, ogród nasz, drzewa, powietrze, dźwięki dzwonów... Jakaś siła niepojęta, straszna i gwałtowna ciągnęła mnie ku ziemi. Gdym chciał się modlić, tak, jak to było dawniej, gdym był pobożnem dzieckiem,—zaraz zdawało mi się, że słyszę śpiew dzieci w naszym kościele szawelskim, gdziem niegdyś do mszy służył z taką dumą... A gdym chciał pracować umysłowo, przychodziła mi myśl zniechęcająca: po co i na co to komu się przyda nauka moja"?

Dnia jednego, bardzo tęskniąc, uleczył się myślą szczęśliwą: uzyskać w Szwajcarji prawo obywatelstwa, wyrobić sobie paszport na imię Jana Stelli i, już jako szwajcar, wrócić do kraju,—narazie choćby tylko do Lwowa. Jak zamierzył, tak uczynił. Z wielkim trudem wyrobił sobie prawo obywatelskie w Szwajcarji i wreszcie po dwuletnim tam pobycie w jesieni 1865 r. wrócił przez Kraków do Lwowa. Ale, niestety, przez szpiegów został poznany natychmiast i oddany w ręce policji austrjackiej. Przechodził teraz okropne katusze: wtrącono go do więzienia, jak zbrodniarza, a przecież jedynie spełnił powinność dobrego syna ojczyzny i niechybnie oddanoby go w ręce Rosji, tylko uratował go paszport szwajcarski, bo obcego obywatela nie wolno zatrzymywać; postanawiono przeto wydalić go z Austrji, zaraz też pod strażą policji został odwieziony do granicy bawarskiej. I w tej podróży przymusowej do granicy doznawał wiele męczarni: na postojach, lub w drodze trzymano go razem ze złodziejami, policjanci austrjaccy okradali go z pieniędzy. Dwa tygodnie tylko przebywał w obrębie państwa austrjackiego, a w tym czasie pozbawiono go dość pokaźnej sumy, którą zaoszczędził, pracując usilnie dwa lata w Szwajcarji.

Gdy znowu poczuł się wolnym po za granicą Austrji, na ziemi bawarskiej, był już prawie nędzarzem. Zamierzał udać się do Francji i tam znaleźć dla siebie pracę. Dowlókł się do Augsburga, idąc pieszo trzy dni prawie o głodzie. Noc jedną przespał w rowku pod mostem. W Augsburgu zamieszkał w oberży i tam silnie zasłabł. Mocny organizm przezwyciężył chorobę. Po trzech dniach wstał—i, mając w kieszeni całego majątku dwa guldeny, wyszedł na miasto szukać posiłku i pracy. Trzeba było jąć się jakiejkolwiek roboty: wstąpił na jednej z ulic Augsburga do fabryki galwanoplastycznej i tam dostał robotę. Gdy był jeszcze młodziutkim oficerem w Petersburgu, jedynie z ciekawości czas jakiś uczęszczał do wieczornej szkoły galwanoplastyki i nauczył się w niej robienia odlewów, form, złocenia i srebrzenia rzeczy miedzianych. Teraz w tej biedzie przydała mu się ta nauka. Wprędce stał się robotnikiem jednym z najbieglszych. Nawet sam wymyślił nowy a lepszy proszek do czyszczenia metali. Fabrykant już mu płacił dziennie 7 guldenów.

Ale Sawicki nie myslał pozostać w fabryce. On całą duszą kochał inną pracę, — pracę naukową. Jeszcze uczyć się postanowił. Miał wtedy lat 35. Półczwarta miesiąca pracując w fabryce, zaoszczędził około 200 złotych reńskich— i tym kapitalikiem powędrował do Alzacji. Narazie miał różne projekty: chciał nauczyć się jakiego przemysłu: chemicznego, maszynowego, lub bawełnianego, wrócić do Polski i tam stać się pożytecznym dla rozwoju przemysłu krajowego. Ale trudno mu było znaleźć miejsce w odpowiedniej fabryce. Tymczasem zarobkował, pisując korespondencje do lwowskich gazet polskich. Czas uciekał i pieniądze zaoszczędzone już się prawie wyczerpały, choć żył bardzo skromnie, nawet głodując. Wtedy odebrał list od swego przyjaciela, Dołgorukiego, moskala, który mu jednocześnie przysłał w podarku tysiąc franków. Sawicki, lubo bardzo ubogi, natychmiast odesłał pieniądze, nie chcąc nic brać od wroga ojczyzny.

Wreszcie namyślił się zostać, jak ojciec jego—lekarzem. Miał już lat 36. Udał się do Sztrasburga i w tamtejszym uniwersytecie zapisał się na medycynę, jakkolwiek niektórzy profesorowie bardzo mu odradzali, przepowiadając, że nie wytrwa, bo podejmuje się pracy nad siły. To go nie przerażało. W marcu 1867 r. majac lat 36 skończonych znowu zasiadł na ławie szkolnej. Nie mogąc kupować książek—przepisywał je dla siebie z pożyczonych. Żył sucharami, nabywanemi u żołnierzy, moczył je w wodzie, bo były twarde. Wreszcie za artykuły, które pisywał do „Gazety Narodowej", wychodzącej we Lwowie, otrzymywał zapłatę skromną, za którą nabywał ciepłe pożywienie, trochę cukru i herbaty. Kładł się spać o 10-ej wieczór, a wstawał o 3-ej rano.

Wówczas Sztrasburg należał do Francji, francuzi bardzo przychylni dla polaków, czynili duże ułatwiania Sawickiemu w pomocach naukowych. Zdolny, pracowity—w naukach szybko postępował,—lecz tylko w utrzymaniu siebie miał ustawicznie wielkie trudności! Poprostu był nędzarzem, a przytem żarła go tęsknota za krajem. Miewał stąd chwilami taką rozpacz, takie zwątpienie, że wtedy płakał jak dziecko, z bólu tarzał się po łóżku i nieraz myślał o samobójstwie, lecz religja i ambicja ją odpychały...

Wreszcie po trzech latach pobytu w uniwersytecie dnia 1 lipca 1870 roku miał Sawicki złożyć ostateczny egzamin na doktora medycyny. Egzamin udał się dobrze. Profesorowie dali mu dyplom doktora medycyny i chirurgji. A jeden z profesorów rzekł wtedy do niego wobec zgromadzonej publiczności: „Pracą swą i moralnością obudziłeś pan w nas szacunek dla Polski, nieszczęśliwego kraju, którego dzieci przychodzą nauką dobijać się u świata zwiększenia współczucia dla swej ojczyzny".

Już miał Sawicki, jako lekarz, wyjechać do Szwajcarji kiedy nagle wybuchła wojna francusko-pruska. Został Sawicki w Sztrasburgu i postanowił pracować w szpitalu Czerwonego Krzyża. Przydał się bardzo. Sześć tygodni nie rozbierał się wcale, ratując rannych, tak było ich wielu, bo prusacy bombardowali miasto.

Po wojnie, pokonawszy mnóstwo trudności, pojechał do Galicji. Osiadł we Lwowie. Dostał miejsce przy szpitalu. Wprędce i tu zjednał sobie serca wszystkich.

„W 1875 roku. latem,—pisze doktór Sawicki—Bóg pozwolił mi doznać wielkiego szczęścia. Droga matka moja 76 letnia staruszka, siostra i bratanek mój, Ludwik, syn ś. p. Adolfa, odwiedzili mnie we Lwowie i zabawili cały tydzień. Jak byłem szczęśliwy, trudno mi wypowiedzieć, bo wszystko co jest we mnie dobrego, zawdzięczam naukom mej ukochanej Matki i jej serdecznemu prowadzeniu w wieku dziecięcym"..

W r. 1876 ożenił się,— a w r. 1910 umarł, mając lat 79.

Trudne było życie Jana Sawickiego, a jednak szczęśliwe, bo wytrwał w dobrem! Prawda, był bardzo zdolny, lecz nie zdolnościom jedynie zawdzięczał swoje szczęście.

Był bardzo pracowity. Tak. Miał wolę żelazną,—miał serce złote,—miał dużo nauki i pomysłowości zabiegliwej. I nie to wszystko jeszcze czyni go godnym ukochania i naśladowania. Najcenniejsze były w nim dwie zalety: uczciwość nieposzlakowana i—szlachetność.

Oby każdy polak pilnie wczytał się w jego Pamiętnik i sercem na całe życie przylgnął do wzoru pięknego!

Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2. — — — — — — — Administracja w Bychawie.

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym" Bychawa.